

## Jan Rokita: Wschodnio-europejski realizm

Polakowi trudno przejść obojętnie nad polityczną logiką Aleksego Arestowicza i rysowaną przezeń perspektywą naszej części Europy. Jeśliby szukać dla owej logiki jakiegoś lapidarnego określenia, to najbliższej istoty rzeczy byłoby paradoksalne miano „realizmu wizjonerskiego”. Zważywszy, że od wybuchu wojny Arestowicz kieruje systemem propagandy wojennej, to formułowane przezeń diagnozy są zaskakująco trzeźwe i realistyczne – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Polakowi trudno przejść obojętnie nad polityczną logiką Aleksego Arestowicza i rysowaną przezeń perspektywą naszej części Europy. Jeśliby szukać dla owej logiki jakiegoś lapidarnego określenia, to najbliższej istoty rzeczy byłoby paradoksalne miano „realizmu wizjonerskiego”. Zważywszy, że od wybuchu wojny Arestowicz kieruje systemem propagandy wojennej, to formułowane przezeń diagnozy są zaskakująco trzeźwe i realistyczne. W jednej z rozmów z Rusłanem Szoszynem, publikowanych na łamach dziennika „Rzeczpospolita”, mówi: „Jeżeli trzeba będzie walczyć przez dziesięć lat, będziemy walczyć przez dziesięć lat. Nie mamy wyjścia, to wojna o przetrwanie naszego narodu”. Naczelnym propagandzistą wojenny ekipy Zeleńskiego nie łudzi bynajmniej nikogo perspektywą rychłego wyparcia agresora i pozytywnego finału wojny; przeciwnie, czyni skrajnie pesymistyczne założenie dotyczące celów i determinacji Rosji. Arestowicz mniema, że mocną stroną Moskali jest upór w „uderzaniu w jeden i ten sam punkt”,

nawet przez wiele lat, jeśli ów punkt stoi tylko rosyjskiej ekspansji na przeszkodzie. „Zachodnie rządy pojawiają się upadają, tam szybko się wszystko zmienia – mówi – a ci uderzają i uderzają”.

*Demokratyczna Europa udaje,  
że pojmuje logikę  
Arestowicza, choć jej w istocie  
nie pojmuje. Jedni udają  
całkiem nieźle jak np. Anglicy,  
inni kiepsko jak np. Niemcy*

Podbój Ukrainy  
zostanie zatem  
rozłożony na etapy.  
Jeśli nie uda się do  
końca już dziś, to w  
jakiejś chwili  
Moskale zrobią sobie  
przerwę, po to by „za  
rok, dwa, pięć, czy

dziesięć” znów uderzyć w ten sam co poprzednio punkt. Arestowicz nie odwołuje się, co prawda, do analogii historycznych, ale jego opowieść o planowanym podboju Ukrainy nawiązuje do dziejów XVII/XVIII wieku, kiedy to Moskwa potrzebowała przeszło stu lat, w trakcie których ubezwłasnowolniła Polskę, pobiła Szwecję i spacyfikowała Kozaków, aby w końcu z żelazną konsekwencją osiągnąć cel inkorporacji Ukrainy, jako wstęp do budowy pozycji europejskiego mocarstwa. Stąd właśnie bierze się – przynajmniej to – niełatwa do zrozumienia dla zachodniego obserwatora teza Arestowicza, wedle której: „zawarcie z nimi pokoju jest dla nas równoznaczne ze śmiercią”. Z perspektywy unijnych rządów, zachodnich ekonomistów, albo papieża podejmującego bezskuteczne próby mediacji, pokój rozumiany najprościej – jako przerwanie krwawej wojny, jest tym, do czego należy dążyć, także, czy nawet przede wszystkim, ze względu na interes Ukrainy. Nie tylko przecież skończyłaby się codzienna masakra i pustoszenie kraju, ale mógłby on zyskać szansę na szybki rozwój, dzięki pomocy zagranicznej i napływowi kapitału. Arestowicz kategorycznie kwestionuje tego rodzaju pozorny zdrowy rozsądek, a jego zdaniem taki pokój nie

oznaczałyby ani normalnego życia, ani odbudowy. Ukraina zostałaby skazana na koncentrację całego narodowego wysiłku wokół wyścigu zbrojeń i przygotowań do dalszej wojny. I nawet nie mogłoby być mowy o odbudowie i bezpieczeństwie kraju. Tak właśnie wyglądałaby, wedle Arestowicza, droga do ostatecznego osunięcia się w dziejową katastrofę całego państwa.

Demokratyczna Europa udaje, że pojmuje tę logikę, choć jej w istocie nie pojmuje. Jedni udają całkiem nieźle (jak np. Anglicy), inni kiepsko i mało wiarogodnie (jak np. Niemcy). W każdym razie ten wątek logiki Arestowicza jest nam przynajmniej znany z realnej polityki, jako swego rodzaju „doktryna wojenna” ekipy prezydenta Zeleńskiego. Co prawda na Zachodzie trochę inaczej tłumaczy się ów brak zgody na negocjacje z Rosją, czy wręcz widomy strach, jaki budzi w rządowym Kijowie idea pokoju, którego konsekwencją musiałoby być jawne, albo przynajmniej domniemane przyzwolenie na drugi już (po roku 2014) rozbiór kraju. W Europie domniemywa się, że Zeleński boi się po prostu obalenia swej władzy, w sytuacji, gdyby nawet tylko dla względów taktycznych porzucił zamiar wyzwolenia całości ziem ukraińskich. W końcu prezydent i tak się już naraził twardym narodowcom, gdy wezwał pułk Azow do złożenia broni i wyjścia z huty „Azowstal”, no i teraz żołnierze tej formacji są podstępnie zabijani w obozach jenieckich. Zaś tym jeszcze żywym Moskale przygotowują pokazowy proces, który ponoć ma się wkrótce odbyć na wielkiej scenie cudem ocalałej filharmonii w zburzonym Mariupolu.

Ten cały czarny realizm w ocenie celów i determinacji Moskwy zmusza jednak Arestowicza do zwątpienia w rozstrzygającą moc zachodniej pomocy wojennej dla Ukrainy. Jeśli wojna nie jest li tylko kaprysem kremlowskiego tyrana, ale skutkiem swoistego wielkoruskiego

posłannictwa, które Rosji nie pozwala dalej żyć bez zawładnięcia Ukrainą; jeśli to wola „kolektywnego Putina” (jak mówi Arestowicz) władza Rosją, więc ani usunięcie, ani śmierć tyrana niczego tu nie zmienia – to jakie szanse ma w ogóle wolna Ukraina? Czy za dziesięć, albo więcej lat, gdy wojna nadal będzie trwać, albo zostanie wznowiona po regeneracyjnej przerwie, Ameryka nadal będzie utrzymywać zrujnowaną państwowość i armię ukraińską, tak by ta ciągle była zdolna do walki? To oczywisty nonsens, właśnie ze względu na geografę. Co by nie powiedzieć o politycznych interesach Waszyngtonu w Europie Wschodniej, to z perspektywy Kijowa na dłuższą metę jest to sojusznik egzotyczny, zwłaszcza jeśli niegasnąca wojna stać by się miała trwałym sednem wschodnioeuropejskiej tożsamości i polityki. I tak realizm diagnozy wiedzie czołowego dziś kijowskiego polityka w stronę wizji, która z jednej strony narzuca się, jako jedyne logiczne rozwiązanie problemu; z drugiej jednak – musi się wydać mirażem, oderwanym od wschodnio-europejskich realiów dnia dzisiejszego.

*Ten cały czarny realizm w ocenie celów i determinacji Moskwy zmusza jednak Arestowicza do zwątpienia w rozstrzygającą moc zachodniej pomocy wojennej dla Ukrainy*

Tu właśnie zaczyna się, tak interesujący z polskiej perspektywy, „realizm wizjonerski” Arestowicza. Jego zdaniem, nie ma innego rozwiązania,

jak to, by nastąpiło „zjednoczenie Polaków, Ukraińców i państw bałtyckich”, które musi jeszcze „wciągnąć Białoruś”, po wcześniejszym „wyrwaniu jej z rosyjskiej strefy wpływów”. Arestowiczowi idzie po prostu o „stworzenie potęgi w Europie Wschodniej”, bo *a la longue*

tylko taka potęga, dobrze osadzona we wschodnio-europejskiej geografii, będzie w stanie oprzeć się nieustannemu parciu Moskali. Logiczna i twardo stąpająca po ziemi analiza Arestowicza odzywa się nagle głosem niektórych dawnych hetmanów – Wyhowskiego, Mazepy, czy Petlury, którzy rozpaczliwie szukając jakiegoś konceptu na antyrosyjską potęgę w Europie Wschodniej, dochodzili tą okrężną drogą do konceptu ścisłej więzi z Polską. Arestowicz ani jednym słowem nie odwołuje się do dawnej Rzeczypospolitej, ale dla każdego jest jasne, że jego opis owej koniecznej w naszym rejonie Europy „potęgi” jest w istocie wielką apologią tamtego geopolitycznego modelu, którego odtworzenia Ukraina potrzebuje dla swej dalszej egzystencji. Fenomen tej apologii jest dzisiaj politycznym faktem o sporej doniosłości. *Primo* – bo idzie on przeciw pod prąd całej XX-wiecznej narodowej tradycji ukraińskiej, dla której tamta stara geopolityka wschodnioeuropejska, upadła definitywnie w końcu wieku XVIII, była dotąd niczym jakieś straszne narodowe przekleństwo. A *secundo* – bo podejmuje się dziś owej apologii nie byle kto, tylko konceptualny twórca podziwianej w wolnym świecie ukraińskiej wojny informacyjnej z Rosją, a zarazem drugi, obok prezydenta Zeleńskiego, najpopularniejszy w swoim kraju polityk ukraiński. Nastał chyba nieoczekiwanie taki czas, w którym to w Kijowie, a nie w Krakowie, czy Warszawie, snuje się wizje zbudowania na kompletnie nowych zasadach tego, co tak bezsensownie zostało przed wiekami utracone.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”